

Moja geografia

Jacek Ormicki

My geography

Abstract: Jacek Ormicki, the son of renowned Polish geographers – Wiktor and Maria Irena – both alumni of Jagiellonian University in Kraków, recollects his childhood and early passion for learning about the world, and hiking in the local mountains “inherited” from his parents. The most distant memory is that of a handcar trip at two years of age, and later during the Nazi occupation, very long vacations in a village near Kraków.

The youthful years of his life are accompanied by memories of trips with his mother across the Tatra Mountains, as well as two unforgettable, taken right after World War II, truck trips to the so-called Recovered Territories located in present-day western and northern Poland – Zielona Góra, Warmia, and Masuria – areas deprived of Nazi Germany in 1945. The trips were organized for the teaching staff and students of the School of Economics, the principal of which was the author’s mother.

Subsequent years, when leaving Poland was difficult for political reasons associated with the country’s communist regime, are filled with memories of absurd situations linked with going to Czechoslovakia. A trip to Turkey, into the wild Aladağ Mountains, brings back a lot of memories. Mountain climbing often requires actual climbing skills, hence the digression regarding funny situations on the climbing course and first independent rock climbing attempts near Kraków.

Poland’s entry into the European Union in 2004 made it possible to travel freely all around Europe, which found its reflection in the memoirs of travels around Romania and Slovenia. The memoirs end with a letter from the Editor of the “Tygodnik Podhalański” (newspaper), containing an account of an attempt to reach Mount Elbrus in the Caucasus Mountains in south-western Russia.

Keywords: geography, tourism, memories

– Jacusi, z Lewandowskimi¹ uradziliśmy, że z Jankiem pójdziecie do budowlanki – powiedziała moja mama. Koniec. Kropka.

Mieliśmy z Jankiem po 15 piętnaście lat i tak wczesny wybór przyszłej drogi życiowej wymuszony został likwidacją Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza, podobno z uwagi na niezbyt prawomyślnych uczniów ze starszych klas.

¹ Mowa o rodzicach mojego przyjaciela z powszechniaka, Janka Lewandowskiego.

Do matury mieliśmy zatem przystąpić jako technicy budowlani i wkroczyć w dorosłe życie z odpowiednim przygotowaniem – nauka w technikum miała ułatwić nam studia na kierunkach technicznych.

Nie wiem dlaczego, ale zawsze zdawało mi się, że jak już zdam maturę, mama² będzie namawiała mnie do studiowania geografii. I choć nie mogę powiedzieć, że marzyłem o tym od dziecka, to w jakiś sposób byłem zawiedziony wyborem technikum budowlanego.

Mimo wszystko geografię miałem we krwi – po rodzicach; była to geografia, do której uprawiania potrzebne są ciekawość, co jest po drugiej stronie góry, oraz zdrowe nogi.

Moje najodleglejsze wspomnienie z lat dziecięcych to podróż drezyną. Jego motywem przewodnim jest ogromna awantura, jaką urządził mój ojciec pewnemu małżeństwu, które bez pytania opiekunów zabrało dwuletniego berbecia na przejażdżkę. Stało się to akurat w momencie, gdy moja rodzina przygotowywała się do powrotu z wakacji w Juracie.

Ale oprócz awantury zachowałem w pamięci tory kolejowe, jakby połykane przez drezynę, i uciekające do tyłu krajobrazy. I ten stan ducha, ten niepokój w nogach, ten jakże podniecający rajzefiber.

Podczas wojny co roku wyjeżdżałem na paromiesięczne wakacje do podkrakowskich Bolechowic. Tu poznawałem najpierw zakamarki gospodarstwa ze stodołą, tajemniczymi piwniczkami i oborą, później okolice gospodarstwa – najpierw bliższe, potem dalsze. Były prawdziwe wyprawy po runo leśne do Lasu Karniowskiego, który z pewnością był zaczarowany. Można w nim było nie znaleźć drogi powrotnej do wsi, co podobno komuś się przytrafiło. Był tajemniczy Wąwóz Bolechowicki z ciemnymi i strasznymi grotami. Jednym słowem, ciekawy świat poza domem.

Ojca już nie było. Został po nim zapach dalekiego świata, zakłęty w pocztówkach ze Zjazdu Słowiańskich Geografów w Sarajewie i w kartkach pocztowych z podróży do Libii.

To, czego nie dowiedziałem się na lekcjach geografii, moja mama uzupełniała praktycznie. Nie pamiętam, bym w czasach młodości, dopóki się nie usamodzielniałem, spędził choć jedną niedzielę w domu. Dzięki mamie poznałem okolice Krakowa, znaczną część Beskidów i Tatry, które darzyła szczególnym sentymentem.

² Jacek Ormicki jest synem znanych polskich geografów – doc. Wiktora Ormickiego (1898–1941) i dr Marii Ireny Ormickiej (1900–1984).

Przychodzi mi na myśl dość zabawna historia związana z pobytem w Zakopanem, w pensjonacie prowadzonym przez ciotki Kadyjowe. Były one spokrewnione z panem Kazim Lewandowskim, stąd mieliśmy tam pewne fory – między innymi dopuszczono mamę do kuchni i mogliśmy używać własne produkty żywnościowe. Na co dzień obiady jadaliśmy w jadłodajni przy Krupówkach, którą nazywaliśmy „Kościami”, bo na talerzu łatwiej było znaleźć kość niż kawałek mięsa. Śniadania i kolacje mama pichciła w kuchni ciotek Kadyjowych. Mama nigdy nie przywiązywała wagi do jedzenia i nie miała żadnych zdolności kulinarnych (prawdopodobnie mam to po niej). Pewnego razu, po dłuższej wycieczce, nie zdążyliśmy na obiad do „Kości” i mama postanowiła ugotować coś sama z tego, co miała pod ręką. A miała tylko mąkę, wodę, jakiś tłuszcz, może troszkę mleka, sól i cukier. Uklepała piękne placuszki à la racuchy i zaczęła je smażyć na patelni. Tego, co stało się potem, nie widziałem nigdy wcześniej, ani później w swoim życiu – jako produkt uboczny smażenia zaczęła się wydzielać bezwonna i gęsta zasłona dymna, która w parę sekund zapełniła kuchnię, przez niedomknięte drzwi wypełzła na korytarz i klatkę schodową, po czym przez otwarte drzwi znalazła ujście na zewnątrz, wzbudzając zrozumiałą popłoch wśród nielicznych przechodniów

Potem nie jeździliśmy już do ciotek Kadyjowych.

Choć trwała jeszcze wojna, w Krakowie otwarto Szkołę Handlową, w której mama uczyła przed wojną. Stanowisko dyrektorki, które dość szybko objęła, umożliwiło jej uprawianie geografii, ale tej – moim zdaniem – ciekawszej. Szkoły, w których dyktowała, zawsze miały jakiś dom, gdzie organizowane były przez cały rok turnusy, jakbyśmy to dziś nazwali – „zielone szkoły”. Zorganizowała dwie wspaniałe wyprawy na tak zwane Ziemie Odzyskane w 1946 i 1947 roku. Wynajętym samochodem ciężarowym, z paką wyposażoną w drewniane ławki, nauczyciele i młodzież, a z nimi i ja, przejechaliśmy do Wrocławia i Zielonej Góry. Zwiedzaliśmy po drodze miasta i wioski – a raczej to, co z nich zostało po działaniach wojennych. Miasteczko Koźle było wtedy kupą gruzu, przez którą wiodła jedna odgarnięta spychaczem (czołgiem?) drogą. Podczas podróży wysłuchiwalismy wykładów o krainach geograficznych, przez które przejeżdżaliśmy.

Jeden z „wykładów”, jakie wygłosił prof. Marian Wnuk (polonista), był na temat kamieniołomu, w którym zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Otóż według wykładowcy, w dawnych wiekach kamieniołom ten służył do „obcinania paznokci”. Delikwent trzymał dłonie na ogromnym głazie u podnóża ściany kamieniołomu, a z góry spuszczano średniej wielkości kamienie, które robiły mu „manicure”.

Druga wyprawa odbyła się na północ Polski, na tereny dawnych Prus Wschodnich. Przejedźaliśmy przez Warszawę. Bardzo smutny widok, przez getto w ogóle nie dało się przebić. Kierowcą ciężarówki był katecheta szkolny, ksiądz Grzybek, późniejszy rektor Seminarium Duchownego w Krakowie. Zachowała się fotografia z zamku w Malborku, gdzie siedzimy na powalonych posągach krzyżackich i zjadamy śniadanie.

Dziś powiedzielibyśmy, że uprawialiśmy wówczas krajoznawstwo. Ale przecież krajoznawstwo to czysta geografia, to jej dziecko (Sawicki 1909: 7).

Chcę przez to powiedzieć, że geografia jest mi bardzo bliska. Że mój związek z geografiami ma podłoże nie tylko rodzinne, a na nagrobku chciałbym mieć napisane „geograf” – jak moja matka. Ale każę sobie napisać „taternik”, bo na to mam papiery, a na geografii nie.

A zatem opis tego, co widzę, nawet okraszony dodatkowo wyrazami zachwytu nad pięknem natury, jest tu, wydaje się, całkowicie na miejscu.

Przeladowany autobus dowiózł nas wreszcie na miejsce i z przyjemnością wysiedliśmy na przełęczy. Z dusznego i ciasnego wnętrza wydostaliśmy się w chłodny przestronny świat z mglistym zarysem Bielskich Tatr na horyzoncie i ostrymi wyraźnymi pagórkami Pienin na bliższym planie.

I dalej:

Ze Wdżaru widok wspaniały. Widać Beskid Sądecki, Niski, Góry Lewockie i Magurę Spiską. Przy dobrych warunkach widokowych te łagodne pasma ciągną się jedne nad drugimi aż do bardzo odległego horyzontu. Sporo zamieszania wnoszą Pieniny na pierwszym planie swoją ostrą, łamiącą się linią lasów, tu i ówdzie odsłaniające się przeraźliwe urwiste ściany Trzech Koron. Przyciągają wzrok idealne trójkątne kształty Nowej Góry i Macelaka. Na dalszym planie charakterystyczna kopka Wysokich Skałek. Dalej w prawo wał Pienin Spiskich i zarysy Tatr Bielskich. W stronę Tatr panorama zupełnie zamglona, a szkoda (Ormicki 1997: 51).

Taka właśnie jest „moja” geografia.

Po kilkuletnim pobycie nad polskim morzem, zapragnąłem zakosztować miłych sercu wędrówek górskich poza pilnie strzeżonymi ojczystymi granicami. Nie przypuszczałem wówczas, że doświadczam rzeczy, o których dziś ludzie (młodzi nie wiedzą, a starsi może już zapomnieli) słuchać będą z niedowierzaniem.

Dostępny był dla nas jedynie grupowy turystyka czajnikowo-robotowo-kuchenny, silnie powiązany z geografiami bonu i pieniądza. Trudno było się dostać do migrującej grupy. Tajemnice interesów wewnątrz takich grup były pilnie strzeżone i niechętnie dopuszczano do nich ludzi obcych, niesprawdzonych.

Podam przykład: aspirowałem do grupy udającej się na południe, czyli na Słowację. I choć znałem większość jej członków, z uporem odmawiano mi wspólnego wyjazdu. Po wielu latach dowiedziałem się, że ta grupa, którą tworzyło kilkanaście osób, przewoziła jednego robota kuchennego – każda z osób przewoziła inną część urządzenia. Poza tym przenoszono kilka części z poprzedniej wyprawy, których nie udało się wcześniej przenieść. Takie zabiegi były konieczne, ponieważ gdyby na granicę trafiło kompletne urządzenie, zostałoby natychmiast skonfiskowane, a całej grupie groziłby zakaz kolejnego wyjazdu.

Osobnym rozdziałem było wyposażenie grupy w środki płatnicze. Grupa dostała (czytaj: pozwalano jej kupować za własne pieniądze) ściśle wyliczoną ilość obcej waluty, na przykład koron czeskosłowackich, z których po powrocie należało się rozliczyć co do halera.

Doświadczone grupy wyposażone były w specjalne płachty, na które wysypywano w pobliżu przystanków autobusowych i kolejowych zawartość koszy na śmieci, by odzyskiwać zużyte bilety kolejowe i autobusowe. Służyć one miały do rozliczenia pobranej kasy po powrocie do ojczyzny.

W końcu trafiłem jednak na grupę uprawiającą „turizm górski” dla przyjemności i pojechałem z nią do Bułgarii, gdzie dotarłem między innymi na najwyższy punkt Półwyspu Bałkańskiego, czyli na Musalę (2 925 m n.p.m.), ustanawiając tym samym swój rekord osiągniętej wysokości.

Wyjazd był nader pouczający. Po pierwsze, musiałem osiąść podstawową wiedzę z zakresu geografii fizycznej. Po drugie, nabrałem przekonania, że taki wyjazd (wówczas mówiło się „wyprawa”) powinien być bardziej dopracowany od strony organizacyjnej, i po trzecie, że szalenie ważny jest skład osobowy i powinien być przedmiotem oddzielnych rozważań.

Prawdą jest, że podróże kształcą. Bogatszy o zdobyte doświadczenie z tego i kilku pomniejszych wyjazdów, postanowiłem zorganizować własną wyprawę.

Dojrzałem do zorganizowania czegoś naprawdę nadzwyczajnego – na tyle, na ile pozwalała mi na to praca zawodowa.

Pojechaliśmy do Turcji, w Taurus Środkowy, w dzikie góry Aladağ. Przejechaliśmy busem 7,9 tys. km, zużywając 958 litrów oleju napędowego (Sprawozdanie z wyprawy). Koszt wyprawy – obejmujący: przygotowanie pojazdu do celów ekspedycji (montaż foteli, wykonanie okna w karoserii, zakup kompletu ogumienia), ubezpieczenie samochodu i uczestników (10 osób), wizy tureckie, zezwolenie Urzędu Ceł na wywóz konserw, kielbasy i makaronu, koszty jednej awarii na trasie dojazdu, koszty paliwa, autostrad, parkingów, promu oraz

campingu – na jednego uczestnika wyniósł 483 tys. zł³ i 40 dolarów USA, czyli tyle co nic.

Cele, jakie sobie założyliśmy, zostały w całości osiągnięte. Wydrapaliśmy się na cztery potężne góry, w tym na najwyższy szczyt Taurusu Demirkazik (3 756 m n.p.m.) i nieco wyższy, już poza Aladağiem, wygasły wulkan Ercies Dagi (3 916 m n.p.m.). Oszołomiony niecodzienną scenerią oraz niesamowitymi widokami, dałem upust swojej pisaninie:

Chłód poranka z wolna ustępował i w miarę jak słońce dźwigało się coraz wyżej, na rozległych piarżyskach rosła temperatura. Droga prowadziła pomiędzy wysokimi na kilkanaście metrów, jakby specjalnie usypanymi hałdami piargu. Z busu wysiedliśmy jeszcze przed górną stacją wyciągu krzeselkowego i mozolnie, serpentynami zbliżyliśmy się do wnętrza wulkanu, który od tej strony pozbawiony był korony. W czasie któregoś, kolejnego wybuchu wulkan rozerwał i lava szerokim strumieniem wylała się na zewnątrz. Dziś jej fale zamienione w piargi zastęły w bezruchu. To, co zostało z Erçiyies Dagi można przyrównać do sierpa opartego jednym końcem w pobliżu górnej stacji wyciągu, a drugim wznoszącym się pod niebo na wysokość 3916 m n. p. m. Łuk „sierpa” ma około ośmiu kilometrów.

I później:

Spoza kolejnych spiętrzeń grani odsłaniały się zupełnie surrealistyczne kształty i kolory formacji skalnych. Wszystko to na tle ogromnej przestrzeni dzielącej wyniesienie wulkanu od zamglonego horyzontu.

Widziałem coraz dokładniej formację skalną, która niczym grzebień wyrastała z grani i opadała na zewnątrz wulkanu w lewo. Nasuwało się porównanie do grzebienia jakiegś przedpotopowej jaszczurki, tak w kształcie, jak i w kolorze (Ormicki 2000: 87).

Będąc wtedy w Turcji, obejrzelśmy kilka zabytkowych miejsc i gorące źródła Pamukkale, a ja nauczyłem się kilkudziesięciu słów po turecku.

Sytuacja jak w bajce. Tajemnicza, piękna i dzika dolina Narpuz kołysz nas do snu. Już zasypiam owinięty szczelnie śpiworem, a tu nagle:

- Kierowniku! Kierowniku!
- Co jest, Zosieńko?
- Jacku, chodź tu. Przyszedł ten stary pastuch i nie wiem, czego chce! – Rad nierad wygrzebałem się z ciepłego śpiwora, wyczołgałem z namiotu i wkroczyłem do akcji.

³ Po przeliczeniu na dzisiejsze złote: 48,30. Wtedy również było to niewiele.

– Kibrit, kibrit – powiedział stary.

– Daj mu, Zosiu, zapaliki. Daliśmy im papierosy, a oni nie mają kibritów – powiedziałem do niej po polsku. Pasterze odstąpili nam pod namioty równe płacyki otoczone kamiennymi murkami i w ramach podziękowania obdarowaliśmy ich papierosami, ale nie dostali zapalek. Stary przyszedł więc po kibrit, pewnie chciał zakurzyć przed snem.

Mój turecki bardziej nam się przydał, kiedy zakładaliśmy pierwszą wysuniętą bazę w Dolinie Wieczornego Źródła. Tak to opisałem:

Plecak zostaje, a ja na ile można w tym terenie, szybko przemieszczam się, trawersując zbocze będące gigantycznym piargiem słabo porośniętym rachitycznymi trawkami. Trzeba uważać, bo stopieńki, po których idę w skos w górę, stale osuwają się i łatwo stracić równowagę. Kontakt kolan czy łokci z podłożem nie jest zalecany. Zdaję sobie sprawę z tego, że jak mi osłarze odjadą i wody nie znajdziemy, trzeba będzie zejść do Emli. Byłaby to poważna porażka, mogąca zaważyć na programie górskim. Tnę więc ile mi sił jeszcze zostało do tych Turków i po pół godzinie (tak – to jednak był kawał drogi i sporo do góry) dochodzę do nich.

– Salam alejkum.

– Alejkum salam, hello.

– Nerede su? – pytam: gdzie woda?

– Su, su. – kiwają głowami na „nie”, co znaczy, że „tak” – szurada su, dört saat, akşam.

Znaczy to, o ile dobrze rozumiem, że woda jest o czwartej godzinie wieczór. Ki diabeł? Co ma zegar do wody. Chyba nie chodzi o to, że oni wodę przywożą o 4 po południu? Paranoja. Weryfikuję to, co zrozumiałem, międzynarodowym językiem migowym.

A więc: woda do picia jest, bo gest picia Turcy ochoczo potwierdzają. Wieczór uzgadniam, pokazując na słońce i ruch ręki, że zachodzi. Pokazuję zegarek i cztery palce – wszystko się zgadza. I nagle błysk zrozumienia: przecież akşam znaczy „wieczór”, pynar to „źródło”. Nazwa doliny Akşam Pynar: Dolina Wieczornego Źródła.

Starszy z Turków kiwa na mnie ręką i idzie w górę doliny ledwo widoczną wśród rumowiska skalnego ścieżyną. Idziemy tak około 100 metrów i przy wielkim głazie skręcamy w lewo. Jeszcze 20 metrów trawersu przez rumowisko i jesteśmy na miejscu. Gdyby Turek nie przyprowadził mnie w to miejsce, sam nigdy bym go nie znalazł. Między kamieniami dwie garście wilgotnego żwiru, obok dziurawa puszką metalowa i kawałek porzuconego czarnego szlauchu o długości 25 centymetrów. To wszystko, co miało jakkolwiek związek z wodą na tym gigantycznym kamienisku od horyzontu po horyzont. Jeszcze trzeba mocno wierzyć, że o 16-tej będzie tu woda. Puskę stawiam na najbliższym dużym głazie i wracamy do miejsca obozu (Ormicki 2000: 19)

I pomyśleć, że cała turecka przygoda zaczęła się od braku na rynku księgarskim literatury poświęconej górcom. W tamtych czasach każda książka o tematyce górskiej zniknęła z półek księgarń natychmiast po ukazaniu się. Książki były wówczas bardzo tanie, a fakt, że wielkość nakładu była regulowana skąpyimi przydziałami papieru, sprawiał, że wszelkie nowości zniknęły z półek jeszcze przed ich wyłożeniem na wystawę. Myślę, że zbieractwo górskich książek (a pewnie nie tylko górskich) w znacznej mierze wzięło się z ich niedostatku na rynku księgarskim. Z tych też powodów kupowałem wszystko o górach, co tylko wpadło mi w ręce. I oto pewnego dnia kupiłem właściwie nie książkę, a broszurkę, która zdawała się wydrukowana na powielaczku, z rysunkiem pasterza na tle góry na okładce i: „ALADAĞ”. Dziełko to przeleżało w domu na półce kilka lat, gdyż kiedy czytałem je pobieżnie zaraz po dokonaniu zakupu, nie dojrzałem jeszcze do takich dalekich, egzotycznych podróży. Chęć poznania gór, innych niż nasze zawładnęła mną, gdy okazało się, że leży to w zasięgu moich możliwości. Po mojej pierwszej zagranicznej wyprawie w 1987 roku w góry Bułgarii uwierzyłem, że z Polski można wyjeżdżać, niekoniecznie tylko w celach handlowych.

Turcja, przy okazji niejako, otworzyła nowy rozdział w moim życiu. Nie wiem, czy powinienem o tym tutaj wspominać – wszak jestem wśród geografów, a to, co mógłbym tu napisać, dalibóg z geografią niewiele ma wspólnego. Nie słyszałem bowiem o geografii wspinaczkowej.

W jednym z moich opowiadań, zatytułowanym Bariera, (Ormicki 2000: 61), opisałem swój strach przed upadkiem z wysokości. Zmusił mnie on do odwrotu spod szczytu Góry. Lęk wysokości. Zestawiony z pasją wędrowania po wysokich górach, zakrawa to na ponury żart. Wyobraźcie sobie człowieka, który uwielbia jeść kremówki, a ze strachu przed utyciem wymiotuje przy pierwszym kąsie. Co za męka. Kiedy nie wszedłem na Górę, choć w to, żeby dostać się w jej pobliże, włożyłem niebagatelny wysiłek, powiedziałem sobie:

– Trzeba coś z tym zrobić. Tak dalej być nie może.

I to właśnie był impuls, który oddalił mnie na pewien czas od „mojej geografii”.

Po powrocie do Polski doszedłem do wniosku, że trzeba podejść do tematu profesjonalnie i zdobyć niezbędne umiejętności do łażenia w pionie. Najprostsza droga prowadziła do Klubu Wysokogórskiego i w podkrakowskie skałki.

Niezbyt zasobny w fundusze, zakupiłem nieco literatury (Sonelski 1990), przejrzałem sporo zdjęć w posiadanych albumach i książkach i przystąpiłem do kompletowania niezbędnego sprzętu. Wiele wysiłku kosztowało mnie uszycie uprząży. Laboratorium wytrzymałościowe urządziłem w likwidowanych magazynach.

Badanie wytrzymałości szwów na taśmach polegało na mocowaniu ich do metalowych regałów, które następnie były wywracane – nagle szarpnięcie i regał zatrzymał się 5 cm nad ziemią. Taśma i szwy były później badane pod lupą. Stosownie do zaobserwowanych wyników wprowadzałem zmiany przy szyciu. Dziś współczuję Skwirowi⁴, który nie znając tajników produkcji, brał na siebie odpowiedzialność za te samoróbki. W każdym razie patrzył na mnie z pewną irytacją i politowaniem. Przy butach nie wytrzymał i odbyła się rozmowa, którą nie bardzo można zacytować dosłownie. Jej przebieg był mniej więcej taki:

– Jacek, k..., co to jest? No, co to, k..., jest? Kupże sobie, chłopie, korkery, utnij korki jak człowiek, dolepu szewca podeszwę i będziesz miał buty jak wszyscy.

No właśnie, jak wszyscy. A buty, które wzbudziły wątpliwości Skwira, były nie byle jakie. Kupiłem je u prywatnego szewca w Zakopanem jako obuwie wizytowe. Popielate półbuty, wykonane z prawdziwej skóry, zamykane były na małe zamki i na rzep. Były nieco za małe (plus na korzyść wspinaczki) i przez to doskonale dopasowane do stopy – chodziłem w nich do pracy i „przyzwyczyły się” do nogi. Później zrobiły się całkiem za małe i leżały w szafce ze starymi butami. Dokupiłem do nich gumę na podeszwę – prawdziwy Boreal⁵ – i szewc przykleił mi to za parę złotych. Specjalnie dopilnowałem, by po przyklejeniu widoczny był napis firmowy. W skale spisują się doskonale. Musiałem jeszcze tylko kupić i zainstalować haczyki na sznurowadła, zamki i rzep bowiem nie gwarantowały, że buty w czasie wspinaczki nie spadną mi z nóg. Gdy pokazałem Skwirowi nazwę producenta na spodach, spuścił nieco z tonu, ale coś tam do siebie jeszcze mruczał.

Kurs skałkowy zaczął się jesienią 1991 roku i na pierwszy ogień poszła droga w skali II na Ścianie w Filarkach na Wzgórzu Dumań w Dolinie Kobyłańskiej. To pierwsze doświadczenie w terenie dostarczyło mi zgoła innych, niż oczekiwałem, wrażeń. Przestałem się bać. Już za pierwszym razem zaistniała w mojej świadomości zupełnie nowa jakość. Stałem na jednej nodze, trzymałem się jedną ręką, patrzyłem prosto w dół na małych ludzi w dole i nie czuję absolutnie żadnego strachu. Ba, żadnej emocji związanej z wysokością! Interesowało mnie tylko to, za co złapać i gdzie postawić nogę. I chęć wyjścia na samą górę.

Prawdziwe zauroczenie przyszło kilka tygodni później, w Dolinie Będkowskiej. Nie pamiętam nazwy skały, ale – jak rzadko – pamiętam szczegóły wspinaczki.

⁴ Andrzej Skwirczyński, instruktor PZA.

⁵ Znana firma produkująca obuwie turystyczne i sportowe.

Startowało się normalnie, od podstawy, w ścianę. Po paru metrach trawers w lewo, ponad przewieszkę. I tam zaczynał się prawdziwy skalny balet. Układ stopni i chwytów w przedziwny sposób umożliwił zachowanie wspaniałego rytmu wspinaczki. Poruszanie się ponad przewieszką dawało poczucie pełnego oderwania się od ziemi. Brakowało tylko muzyki. Nigdy i nigdzie potem nie doświadczyłem już takiego uczucia. Potem ścianka skończyła się, zostało wspaniałe wspomnienie i chęć przeżycia tego jeszcze raz.

Z tego „semestru” pamiętam jeszcze takie zdarzenie. Również z Doliny Będkowskiej. Szedłem ostatni. Wyciąg prowadził Skwir, potem chłopczek może piętnastoletni (a wyglądał na dziesięć–dwanaście lat) i dwie małolaty. W ścianie była taka sytuacja: albo w górę koło przewieszzonej na dole rysy czymś na kształt spionowanego konia (i tam był założony przelot), albo obejście dołem tej formacji. Wydawało mi się, że znacznie prościej byłoby przejść dołem, i powiedziałem Asi czy Misi, która szła przede mną, by nie wpinała w przelot liny idącej do mnie, bo pójdę inną drogą, a po przelot wrócę od góry. Skwir był już dawno na górze i nie słyszał tej rozmowy. Stało się, jak proponowałem, obszedłem spokojnie dołem tego konika i będąc już nad nim, zawałem do Skwira, by dał luz, bo wracam po przelot. Wyobrażam sobie jego zdziwienie, gdy tego luzu było stale za mało, musiałem bowiem obniżyć się o dobre kilka metrów. Czy coś tam z góry więcej do mnie poleciało, już nie pamiętam. Była z pewnością jakaś wiązanka o kursantach, którzy robią na skale różne rzeczy i zawsze potrafią zadziwić instruktora.

W każdym razie połknąłem bakcyła pionu. Stało się to niestety o czterdzieści lat za późno...

Przygoda ze skałą tym razem skończyła się na tych kilku próbach w podkrakowskich dolinkach. Pod presją rodziny (która jako argumentu posłużyła się moim PESEL-em), kursu skałkowego nie skończyłem, ale pozostała we mnie ogromna potrzeba jakiegoś sensownego zakończenia tego etapu edukacji. Z czasem okazało się, że i tu, tak jak wszędzie, o wszystkim decydują technika, umiejętność i trening. Zobaczyłem, jak wielka przepaść dzieli mnie od dobrych wspinaczy i ile jeszcze muszę się nauczyć, by wejść do krainy wrażeń i doznań zupełnie niewyczuwalnych dla innych ludzi.

Następny rok poświęciłem na przygotowania do, wydawało się, kolejnej przygody życia, mianowicie do pokonania wysokości ponad 7 000 m. Powziąłem bowiem zamiar wyjścia na Pik Lenina⁶. Piszę „zamiar”, gdyż na zamiarze się skoń-

⁶ Pik Lenina (7 143 m n.p.m.) – szczyt w Górach Zaałajskich w Pamirze, w Azji, na granicy Tadżykistanu i Kirgistanu.

czyło. Przygotowania do wyjazdu, w ostatniej dosłownie chwili, przerwała choroba i w rezultacie śmierć w najbliższej rodzinie.

Na kurs skałkowy wróciłem jesienią 1992 roku. Przeszedłem jako weteran te pierwsze skałki po raz drugi, niestety, na balet powtórnie nie trafiłem.

Podszkoliłem swoje umiejętności skałkowe – wydaje mi się, że jak na swoje ogólne warunki, w sposób zadawalający. Byłem w stanie pokonać drogę w skali trudności IV, w porywach V – oczywiście na drugiego lub „na wędkę”. Na pierwszym odważyłem się poprowadzić dwójkę, nie licząc Turni Marcinkowskiego w Kobyłańskiej, którą „zrobiłem” dwiema drogami: trójkową i czwórkową z minusem. Sądzę jednak, że podana w przewodniku skala trudności jest mocno przesadzona. Może tak było kiedyś, dziś jest z pewnością o wiele łatwiej.

Warto wspomnieć o mojej samodzielnej dwójce na Czarnej Ścianie, gdyż wybrałem się tam z Ulą⁷, która nie miała żadnego fachowego przeszkolenia. Najpierw poszliśmy na Wzgórze Dumań na Ściankę w Filarkach, aby ogólnie zapoznać się ze sprzętem i całą organizacją wspinaczki. Zawiesiłem solidną wędkę na szczycie na drzewie, poinstruiowałem moją towarzyszkę w kwestii asekuracji i sprawnie pokonałem dwójkową drogę. Całość zakończyłem efektywnym zjazdem, to znaczy zostałem łagodnie opuszczony przez Ulę do podstawy ścianki. Gdy z kolei Ula zgrabnie wdrapała się na górę i została opuszczona, uznałem, że możemy zaliczyć następną dwójkę. Wybór padł właśnie na Czarną Ścianę. Jest to turnia po drugiej, mało uczęszczanej stronie doliny, schowana w gęstych krzakach i raczej przez wspinaczy nieodwiedzana. Sądziłem, że będzie tam zupełny spokój i nikt nie przeszkodzi mi w pierwszym samodzielnym wyjściu na drogę, na której będę pierwszy raz w życiu. Tak też było, choć wypadki potoczyły się zgoła inaczej, niż zaplanowałem. Pierwsza część wyjścia przebiegła sprawnie, choć zajęła mi sporo czasu, ponieważ droga była zarośnięta. Musiałem nieco oczyścić teren, bo kolczaste krzaki znacznie utrudniały wspinanie. Nie miałem ekspresów i przeloty zakładałem na jedynej posiadanej ogromnej kości i robionych pętłach. Założyłem zresztą tylko trzy przeloty, z czego jeden był na kości, jeden trzymał się na krzaku, a trzeci stanowiła pętla z liny o grubości 12 mm z węzłem wciśniętym do zwężającej się ku dołowi szczeliny. Po przejściu drogi i wyjściu do lasu starannie założyłem stanowisko na solidnym drzewie, przypiąłem się do drugiego drzewa i krzyknąłem do Uli, że może iść. Nic nie było widać,

⁷ Urszula Ormicka, moja żona.

bo droga nie dość, że była zarośnięta, to jeszcze zakręcała. Ale Ula poszła – musiała poczuć, że zacząłem wybierać linę. Dla bezpieczeństwa starałem się robić to tak, by stale czuć opór. Nie mieliśmy kontaktu głosowego, a o tym, co działo się na ścianie, mogłem wnioskować tylko na podstawie ruchu liny, która przesuwiała się raz szybciej, raz wolniej. W pewnym momencie lina się zatrzymała. Na podstawie długości wybranej liny wywnioskowałem, że Ula może być koło przelotu, tego z grubej liny. Pomyślałem, że pewno ma trudności z wyciągnięciem liny ze szczeliny i aby ułatwić jej manipulowanie liną i Ulę odciążyć, dałem blok. Solidnie napiąłem i zaknagowałem linę na stanowisku i położyłem rękę na napiętej linie biegnącej ku partnerce, aby wyczuć zmianę napięcia, która byłaby sygnałem, że Ula idzie dalej. Oczekałem pięć minut i nic. Dziesięć minut i dalej nic. Zacząłem ją wołać, ale odpowiadała mi tylko cisza, lina ani drgnęła. Po następnych paru minutach zaniepokoiłem się na serio, przywiązałem wolny koniec liny do drzewa, przewlokłem przez ósemkę przy uprząży i zacząłem się opuszczać, najpierw przez krzaki, a później po skale. W pewnym momencie zobaczyłem z przerażeniem, że lina biegnąca od Uli leży swobodnie na skale. Ula ruszyła do góry i nie jest ubezpieczona! Zacząłem wołać:

– Stój, nie idź! Zaczekaj!

Jak tylko dało się najprędzej, ruszyłem do góry do stanowiska, trzymając w jednej ręce linę od Uli. Moja lina wlokła się po ziemi i dodatkowo musiałem uważać, by nie zaplątać się w jej luźnych zwojach.

Wszystko na szczęście zakończyło się pomyślnie. Przy stanowisku byłem chwilę przed Ulą. Teraz dopiero dowiedziałem się, co właściwie stało się przy przelocie z liny (istotnie Ula się przy nim zatrzymała). Przez nadmierną dbałość o partnerkę wybierałem linę tak szybko i mocno, że gdy Ula doszła do przelotu, lina była zbyt napięta, by mogła wypiąć się z karabinka i wysunąć gruby węzeł ze szczeliny. Co próbowała uzyskać trochę luzu, ciągnąc za linę ku sobie, ja w trosce o jej bezpieczeństwo wzmacniałem blok i dociągałem linę na sztywno. Ula wołała. Najpierw parę razy:

– Daj luz.

Gdy to nie poskutkowało, jej dźwięczny głos, zwielokrotniony echem okolicznych turni, zwrócił uwagę wszystkich niedzielnych spacerowiczów po drugiej stronie doliny:

– Daj, k..., luuuz!!!

A ja tego w ogóle nie słyszałem. Wreszcie jakimś nadludzkim wysiłkiem udało się Uli wyswobodzić z asekuracji i mogła ruszyć do góry.

Tu muszę się przyznać, że moje górskie samopoczucie – jako absolwenta kursu skałkowego – znacznie się poprawiło. Od razu zauważyłem, że wzrosła moja wytrzymałość na ekspozycję. Nie chcę przez to powiedzieć, że przestałem się bać. Skądże znowu! Ale znacznie dłużej potrafiłem opanować strach związany z wysokością. Nie dotyczy to jednak podchodzenia do balustrady na balkonie – w tej sytuacji odczuwam równie silne emocje jak dawniej i na ósmym piętrze za nic nie podejść do balustrady, by niedbale się o nią oprzeć. Serce wali mi jak młotem, a nogi się pode mną uginają. Wszystkie te lęki opadają ze mnie jednak jak jesienią liście z drzew, kiedy jestem przyasekurowany.

Gwoli ścisłości dodam, że później ukończyłem również kurs tatrzański i wspinałem się samodzielnie kilka razy w Tatrach i w Alpach, głównie na via ferratach. W tej dziedzinie nie miałem jednak szans na dalszą sensowną kontynuację z bardzo prozaicznej przyczyny – moi rówieśnicy już dawno porzucili tę zabawę, a młodym niestety nie dotrzymywałem już kroku.

Wróciłem zatem do wyjazdów krajoznawczych, ale zawsze związanych z górami. Taki zresztą był pierwotny zamysł odsłoku w stronę pionowych ścieżek. W dobrnym według nowych kryteriów towarzystwie w następnych latach poznałem więc sporą część Alp Austriackich, Alpy Julijskie i Gryzonię w Szwajcarii. Ponieważ po paru latach formuła działania tej grupy się wyczerpała, postanowiłem wziąć sprawy we własne ręce. Na początek wybraliśmy się z Ulą samotnie w Alpy Julijskie – Fiatem 126p. Wyładowane po brzegi, auto mknęło po austriackich autostradach z zawrotną szybkością 60–70 km/godz. Mieliśmy dużo szczęścia, przejechaliśmy bowiem bez awarii tam i z powrotem, a maluszek rozpadł się dopiero w Polsce, po przejechaniu dodatkowych 300 km, i to już pod naszym domem, po powrocie z pleneru fotograficznego w Brzegu Dolnym.

Po poszerzeniu granic Unii Europejskiej o kolejne dawne demoludy zapragniemy zwiedzić Rumunię i część jej wspaniałych gór. Wszak to te same góry, co w Polsce – Karpaty.

Trzeba było zatem opracować program wyjazdu i dobrać nowe towarzystwo. Za optymalną liczbę uczestników uznaliśmy czternaście osób plus kierowca. Jako środek transportu wybraliśmy busa. Zaczęło się niezbyt fortunnie. Z poleconym nam kierowcą spotkaliśmy się w przeddzień wyjazdu, aby omówić sprawy organizacyjne. Z dumą oznajmił nam, że ma już zakupione na wyjazd hrywny.

- Hrywny?
- Tak, hrywny, przecież jedziemy na Ukrainę.

Nieporozumienie szybko wyjaśniliśmy i pan Krzysztof zdążył jeszcze zamienić hrywny na leje i euro. Ujął nas spokój pana Krzysia i jego rzeczowe podejście do sprawy. Podczas dalszej współpracy, która trwała przez dziesięć kolejnych wypraw, okazało się, że jest człowiekiem ze wszech miar kompetentnym, uczynnym i wyrozumiałym.

Starannie dobraliśmy uczestników; w składzie znalazł się znakomity geograf, trzech przewodników tatrzańskich, sześciu przewodników beskidzkich, jeden wydawca górskich książek, ich żony oraz mężowie, człowiek z gitarą oraz dwie sympatyczki gór. Najważniejsze jednak było, że z jednym wyjątkiem, o którym już więcej nie wspomnę, zebrane towarzystwo było wyjątkowo zgodne.

Założone cele turystyczno-sportowe oraz krajoznawcze zostały w całości osiągnięte. Śladami Mieczysława Orłowicza wydrapaliśmy się na Pietrosul (2 303 m n.p.m.), w Górach Fogaraskich wyszliśmy na najwyższy szczyt w Rumunii – Moldoveanu (2 544 m n.p.m.), przejechaliśmy przez słynny wąwóz Bicz z osuwiskowym jeziorkiem, by następnie zanoć na kempingu w Lacu Rosu. Dałem się skusić reklamie i zamówiłem sobie lokalne danie, coś à la rumuńska mamałyga. Brrr. Była to letnia pacułyca z utopioną w niej parówką drugiej świeżości. Ohydneho smaku pozbyłem się dopiero po drugim piwie... Znaczący rumuńskiej kuchni pocieszyli mnie, że miałem pecha, bo prawdziwa rumuńska kuchnia jest bardzo smaczna. Może i tak.

Następnego roku pojechaliśmy w Alpy Julijskie. Trzon sprawdzonego składu osobowego nie zawiódł i tym razem. Eksplorowaliśmy ten masyw górski od południa z bazy w pobliżu Jeziora Bohińskiego. Zaplanowaliśmy też dwudniową wycieczkę z wyjściem na najwyższy szczyt Alp Julijskich – Triglav. W pierwszym dniu doszliśmy pod Triglav z zamiarem zanoć w Domu Planika. Dość pechowo wybraliśmy dzień, góry roily się bowiem od tubylców. W schronisku zastaliśmy komplet rozochoconych turystów raczących się znakomitymi trunkami – rodzimą śliwowicą i piwem Jalovec. Jednym słowem, schronisko było rozśpiewane, kłopot w tym, że każdy śpiewał co innego. My natomiast czekaliśmy, aż śpiewy i głośne rozmowy ustaną, turyści rozejdą się do swoich sypialni, i my będziemy mogli na pustych ławach, stołach i podłodze rozłożyć się do spania.

Po dziesiątej wieczorem, gdy rozbawiony tłum wrzeszczał w najlepsze, nasz znakomity geograf zaintonował narodową pieśń polską: Góralu, czy ci nie żal. Jego dźwięczny bas wypełnił wszystkie zakamarki schroniska i przez niedomknięte okno ogromny niczym rzymski amfiteatr kocioł skalny pod Triglavem. Tubylcze śpiewy i gwar przekrzykujących się słoweńskich turystów ucichły jak nożem uciął. W tej ciszy zwycięski bas zagrzmiął jeszcze bardziej monumentalnie.

W kompletnym osłupieniu, zgromadzeni wysłuchali wszystkich sześciu zwrotek z refrenami.

Za chwilę układaliśmy się do snu na twardych ławkach i podłodze.

Poranek przywitał nas gęstą mgłą i informacją, że w górze spadł śnieg. Cóż można rzec, trzeba umieć pogodzić się z porażką.

Triglav został jednak zdobyty kilka dni później, z innej bazy (w Bovcu) i z innej strony przez dwuosobowy zespół: Jarka z małżonką Jolą.

Choć wypadałoby przywołać teraz kolejne wyprawy w tym sprawdzonym, znakomitym towarzystwie – do dziś odbyły się jeszcze cztery – to wrodzona dokładność każe mi odświeżyć wspomnienie zupełnie innego doświadczenia. Innego pod każdym względem. Do dziś sam się sobie dziwię, że to zrobiłem, ale do rzeczy.

Właśnie stuknęło mi siedemdziesiąt jeden lat. I pomyślałem sobie dosłownie:

– Jaki numer by tu wyciąć?

W tym stanie ducha spotkałem kompana, z którym los związał mnie na kursie przodownikim (notabene zawsze miałem inklinacje do zawierana nietypowych znajomości – wybac, Bogus⁸, naprawdę nie mam nic złego na myśli). Stanęliśmy przed sobą, spojrzeliśmy sobie głęboko w oczy i wyrzekliśmy jedno słowo: Elbrus. „Moja geografia” znów zahaczyła o granicę części świata, a nawet ją przekroczyła.

Przygotowania do podróży nie przebiegały, niestety, jak należy, i to z mojego powodu. Nie wiedziałem, że aby dostać rosyjską wizę, trzeba mieć ważny paszport jeszcze sześć miesięcy po planowanym zakończeniu pobytu, musiałem więc jego ważność przedłużyć. Gdy to się udało, było już za późno, by kupić bilety w Polsce bezpośrednio do Nalczika. Pojechaliliśmy zatem „na wariata” i przy każdej przesiadce kupowaliśmy bilety w kasach, stojąc we Lwowie, w Rostowie nad Donem i w Mineralnych Wodach w normalnych socjalistycznych kolejkach (i na każdym z tych dworców zaliczaliśmy nocleg w poczekalni lub na peronie. Ta podróż w krajinie absurdu doczeka się być może oddzielnej opowieści.

Wyprawa na Elbrus dała mi wiele satysfakcji, bardziej jednak z racji poznania granicy części świata, w której mieszkam, niż z powodu odniesienia sportowego sukcesu. Dlaczego? Posłużę się tu niepublikowaną korespondencją do pewnego dziennikarza, który w obszernym artykule w poczytnym „Tygodniku Podhalańskim” opisywał dokonania Bogusia (między innymi na Elbrusie).

⁸ Jerzy Bogusław Nowak, nominowany w plebiscycie na człowieka roku Małopolski w 2014 roku z racji jego działalności wśród Polonii Syberyjskiej i corocznego organizowania peregrynacji tych Polaków do kraju przodków.

Szanowny Panie Redaktorze

Jestem tym kolegą, z którym Jerzy Bogusław Nowak „Bogus” był w Kaukazie w sierpniu tego roku. Ze zdziwieniem przeczytałem, że wylazłem na sam główny wierzchołek Elbrusa. Nie był na nim również Bogus – wyszedł jedynie na wschodni, nieco niższy (o 21 m), wierzchołek tej góry. Nie zamierzam z tego powodu procesować się z Panem ani żądać sprostowania w „Tygodniku”. Moi znajomi, na których opinii w sprawach górskich mi zależy, a wśród nich wielu przewodników tatrzańskich, znają prawdę i znają również mnie, i wiedzą, że nie z mojej inicjatywy popłynęła informacja o moim sukcesie. Czuję się nieco niezręcznie i dlatego piszę do Pana, aby tego rodzaju informacje czerpał Pan z wiarygodnych źródeł, a nie tylko z sufitu.

Rozumiem, że w Pańskim artykule nie ja jestem „panną młodą” i właściwie Bogus powinien prosić o sprostowanie, bo tego rodzaju nieścisłości w jego sytuacji znanego podróżnika i zdobywcy są dość istotne. Ale to jego sprawa.

A jak było naprawdę?

Budzimy się o 2 w nocy. Jesteśmy w zasadzie spakowani, ale trzeba zjeść coś ciepłego. Ja mam energetyczną mieszaninę rodzynek, orzechów, suszonych bananów i jem to wszystko z mlekiem. Jest pożywne i dobre. Biorę to również ze sobą oczywiście w postaci suchej. W termosach przygotowane picie z wieczora, oprócz herbaty mam też dodatkową flaszkę z letnim picim (przegotowana woda ze sproszkowaną herbatką cytrynową kupioną w Terskole). Ubieramy się starannie – zakładamy również raki, siedząc na łóżku. Teraz widzę, że podłoga jest cała w dziurkach. Przewodnicy swoim podopiecznym też każą zakładać raki wewnątrz. Na zewnątrz jest tegi mróz. Tak około 15 stopni poniżej zera. Na szczęście nie ma wiatru i niebo jest rozgwieżdżone. Jest jasno – nie trzeba włączać czołówek. Trafia się wyjątkowa gratka. Jedna z grup – z rosyjską przewodniczką – zamówiła ratrak, który trochę nas podwiezie w stronę Skał Pastuchowa (nie za darmo, oczywiście). Choć z kilometr – to i tak będzie bardzo dużo. Dzięki temu zyskamy do innych grup trochę czasu i nie będziemy się spieszyć. Ratriak wywiózł nas w pobliże Dolnego Pastuchowa. Zaświeciła nadzieja... Zanim jednak zaświeciło słońce, zmarzły mi palce u rąk. Gdyby nie puchowe łapawice Bogusiowe, byłoby kiepskawo. W nogi o dziwo nie było mi zimno. Nie chciały tylko maszerować jak należy. Dziwne uczucie. Nie brak tchu, nie duszenie, nie ból głowy – a niemoc w nogach. Powyżej Skał Pastuchowa ścieżka nieco skręcała na trawers wschodniego wierzchołka Elbrusa i widać było co najmniej 2 km „płaskiego”, zakończony pasemkiem skałek na horyzoncie. Ludzie, którzy tam już dotarli, wyglądali jak małe kropki. Z całego widocznego odcinka trawersu, w kontekście niemocy w nogach, wyzierała beznadzieja. Wylczyłem, że aby w ogóle myśleć o sukcesie, muszę poruszać się co najmniej metr w poziomie na 7 sekund. Ponieważ kroki

miałem około 30 centymetrowe, wyszło, że muszę zrobić 3 kroczki w ciągu 7 sekund. Na trawersie 3 kroczki zajmowały mi około 12 sekund. Wyliczenie proste: nie zdążę; nawet jeśli wystarczy mi się, to zwyczajnie zabraknie czasu. Ostatecznie nie muszę wyjść na szczyt⁹. Wiedziałem o tym już od początku trawersu. Teraz chodziło o to, by zakończyć przygodę z Elbrusem w jakimś konkretnym miejscu. I tak pobiliśmy na głowę swój turecki rekord wysokości na wulkanie Erciyes Dağı (Elbrus też jest wygasłym wulkanem!) wynoszący 3916 m. Zacząłem namawiać Bogusia, by porzucił moje towarzystwo i postarał się wyjść na szczyt. Uparł się jednak towarzyszyć mi „do końca”(?!). No więc doszedłem do miejsca, gdzie ścieżynka zakręca w prawo zgodnie z warstwicami na lewym ostrzu, które tworzy pas skał zamykających horyzont na lewym „kancie” wschodniego wierzchołka góry i usiadłem na bardzo wygodnym kamieniu, obok którego jest drugi kamień, tworzący jakby oparcie. Usiadłem, oparłem się, podłożyłem rękę pod głowę i... zasnąłem. Było to dokładnie na wysokości 5300 m n.p.m. Spałem, dopóki brutalnie mnie nie obudzono (około 15 minut). Boguś opowiedział mi, że schodziła jakaś Rosjanka i widząc leżącego faceta, wykrzyknęła:

– O Boże, on żywiot?

Boguś, znany dowcipniś, odparł na to:

– Żywiot, żywiot, w interwałach.

– Jak to, w interwałach? Pokaż, on żywiot? Na pewno? Ojej!

Podeszła do mnie i usiłuje podnieść mi powiekę, chce sprawdzić, czy widać źrenicę... I zbudziła mnie baba, wsadzając mi palec do oka. Zapytała jeszcze, czy nie trzeba nam pomóc, po czym zwiewała, aż się kurzyło. Tak właśnie zakończyła się moja przygoda z Górą. Boguś ruszył w górę i wszedł jedynie na Wschodni Elbrus (o 21 m niższy od wyższego), gdyż zbliżała się burza. Natomiast ja, schodząc w rejonie Skał Pastuchowa, widziałem, jak wynajęty przewodnik sprowadzał zagranicznego turystę. Turysta był przywiązany do przewodnika na krótko (jakby na postronku) i zataczając się, skrajnie wyczerpany, co chwila padał. Stawiany na nogi brutalnie linką, szedł dalej. Turysta może i był na górze, ale ja nie chciałbym schodzić w takim stanie jak on.

Wszystkie wyjazdy dokumentowałem w miarę możliwości fotografiami i w długie zimowe wieczory dzieliłem się swymi wrażeniami z tych podróży ze wszystkimi, którzy mieli na to ochotę. Nazywamy to prelekcjami z przeżroczami (jedna z nich odbyła się nawet w Auditorium Maximum UJ).

⁹ Lekarz, który opiekuje się mną po zawale, na moje pytanie, czy mogę jechać w wysokie góry, odparł: „Może pan wszystko, ale nic pan nie musi”. I ta zasada towarzyszy mi na wszystkich górskich wyprawach do dziś.

Na zakończenie chciałbym oświadczyć, że „moja geografia” daje mi wiele przyjemności na trzy sposoby: najpierw na etapie przygotowania, przy pracy z mapami, przewodnikami, nierzadko beletrystyką i w ostatnich dziesięciu latach z komputerem, później w czasie konfrontacji wyobrażenia z rzeczywistością, kiedy uprawiam „moją geografię” w terenie, w końcu zaś w chwili takiej jak ta, gdy przy pomocy notatek i fotografii przywołuję z zakamarków pamięci obrazy świata, który dane mi było oglądać na własne oczy.

Bibliografia

- Ormicki J., 1997, *Rozmowy o górach*, Oficyna Wydawnicza Bacy Jacentego, Kraków.
- Ormicki J., 2000, *Dolina wieczornego źródła*, Oficyna Wydawnicza Bacy Jacentego, wyd. 2, Kraków.
- Sawicki L., 1909, *Geografia a krajoznawstwo, odczyt wygłoszony na posiedzeniu Towarzystwa Krajoznawczego w Warszawie dnia 10 listopada 1909 r.*, odbitka z „Wszechświata”.
- Sonelski W., 1990, *W skale. Zasady alpinizmu*, Biblioteka Bularza, Alma-Press, Czeladź.
- Sprawozdanie z wyprawy w góry Taurusu Centralnego (ALADAĞ) w Turcji*, „Informator Ośrodka Kultury Turystyki Górskiej KTG ZG PTTK «Gabinet K. Sosnowskiego»”, Dom Turysty PTTK, Kraków, nr 12/4/90.

mgr inż. Jacek Ormicki
PTTK Kraków